

ŻARLIWOŚĆ I SKUPIENIE

Z profesor Ireną Sławińską rozmawia Wojciech Chudy¹

Wojciech Chudy: *Pani Profesor, ponieważ chciałbym, aby wątkiem przenikającym tę rozmowę był wątek wychowania, szkoły, pedagogii w najszerszym tego słowa znaczeniu i pedagogii życia, zacznijmy od Pani pierwszych kroków w szkole.*

Irena Sławińska: Właściwie nie byłam w żadnej szkole podstawowej. Nie tylko ze względu na społeczne przesady, które oczywiście wtedy grały pewną rolę: nie trzeba, aby dzieci z „dobrych domów” mieszały się w szkole publicznej z proletariatem. Ale wcale nie ten motyw odegrał zasadniczą rolę w sprawie mojego początkowego kształcenia. Po prostu był to czas ciągłych wojen, ucieczek – przecież pierwsze moje lata właśnie przypadają na takie sytuacje. Zostałam wywieziona z Wilna już w lecie 1915 roku. To była obowiązkowa ewakuacja wobec zbliżającej się armii niemieckiej. Mój ojciec był inżynierem na służbie państwowej. Wtedy w Wilnie został zmobilizowany, zaś ewakuacja obowiązkowa objęła rodziny takich ludzi. Musieliśmy się udać w głąb Rosji w początkach września 1915 roku. Moja mama sama wybrała miejsce pobytu i ucieczki, mianowicie Ukrainę, ponieważ Ukrainę знаła i bardzo kochała, wierzyła w Ukraińców i wcale się ich nie bała. Więc wybraliśmy się daleko, bo nad Dniepr, do Kremienczuga.

W.Ch.: *Do rodziny?*

I.S.: Nie, nie było tam żadnej rodziny. Miejsce ewakuacji wybierało się wtedy w ciemno. Moja mama po pierwsze zdecydowała się na miasto średniej wielkości, po wtóre zaś wiedziała, że do Kremienczuga ewakuowano wtedy

¹ Rozmowa została przeprowadzona w kwietniu i maju 1995 roku.

wielką fabrykę „Lilpop, Rau und Loewenstein”. Mama moja rozumowała słusznie, że w wypadku dużej populacji fabrycznej powstanie tam jakaś szkoła, będą jakieś przedszkola czy ochronki – a w związku z tym i możliwość pracy. I rzeczywiście, choć stałej pracy mama nie miała, została tam zaangażowana. Sama założyła ochronkę (bo tak się to wtedy nazywało), a właściwie przedszkole, w którym znalazłyśmy się wkrótce potem (po roku czy dwóch), kiedy już skończyłam trzy lata. Nie było tam chyba żadnego regularnego programu, ale jakaś namiastka przedszkola, w każdym razie zbiorowego życia. Mama też była chyba zatrudniona w tym przedszkolu, a przede wszystkim występowała jako recytatorka. Uczyła się w swoim czasie nawet przez pewien okres w szkole teatralnej i miała ustawiony pięknie głos. Potem przy różnych okazjach właśnie te swoje talenty recytatorskie eksponowała, tak że moje najmłodsze lata upłynęły w kręgu poezji, co na pewno nie było bez znaczenia dla dalszego rozwoju. Tak, z pewnością jakoś to się odbiło na moich upodobaniach. To były moje najmłodsze lata.

Pierwsze wspomnienia stamtąd, z Ukrainy, to rewolucja bolszewicka, która tam dotarła: strzały, trupy na dziedzińcu, poduszki w oknach. Atmosfera groźna bardzo. Byłyśmy wciąż bez ojca, ojciec był już wtedy aresztowany gdzieś przez bolszewików. Uciekłyśmy stamtąd w 1918 roku, kiedy tylko otworzyła się taka możliwość. Niemcy przyszli tam na krótko, jak wiadomo, nawet chwilowo rządziły polskie władze, więc w 1918 roku można było się wydostać. Oczywiście, towarowymi wagonami; bardzo długa to była podróż, nawet nie potrafię powiedzieć, ile tygodni trwała.

W.Ch.: *I stamtąd do Warszawy?*

I.S.: Do Warszawy, bo moja mama – warszawianka. Tam miała siostrę, brata niedaleko, bo w Skierniewicach pod Warszawą, też inżyniera. O ojcu nic się na razie nie wiedziało. Trzeba było jakoś życie od nowa urządzać. To najcięższy okres mojego dzieciństwa, ten pobyt w Warszawie. Przede wszystkim nędza i głód. Głód, straszny głód, nie powszechny głód wśród ludzi, tylko związany z tym, że mama nie miała pracy i nie zabraliśmy żadnych rzeczy ze sobą. To była ucieczka w takich warunkach. Ponadto ogromna dewaluacja rubla, czyli tego pieniądza, którego trochę mama miała ze sobą. To był prawdziwy głód. Mama wychodziła na cały dzień szukać pracy, a nas zostawiała w jakimś wynajętym już wtedy pokoju, z kawałkiem chleba, czasem suchego. Nie miałam wtedy jeszcze pięciu lat, kiedy się tam znalazłyśmy, więc o szkole jeszcze nie było mowy, ale dosyć wcześnie mama nas nauczyła czytać i pisać. Wcześniej się nauczyły, ale nie w ramach jakiegoś programu szkolnego, tylko w domu, przy mamie. W listopadzie 1918 roku, kiedy polskie urzędy zaczęły się organizować, mama została przyjęta na bardzo skromne miejsce, bo przecież nie miała żadnego przygotowania prócz bardzo eleganckiej pensji

skończonej ongiś w Warszawie. Została – przez znajomości zresztą – drobnikutką urzędniczką w ministerstwie finansów. No więc trochę wtedy nasz byt się poprawił.

W.Ch.: *Pani Profesor, a kiedy po tej edukacji początkowej w domu poszła Pani do pierwszej szkoły?*

I.S.: Po raz pierwszy myśmy się znalazły w szkole obie razem, siostra i ja – bo dzieli nas tylko rok różnicy – na Pomorzu. To była znów następna ucieczka i ewakuacja z Wilna, do którego wróciłyśmy na bardzo krótko z Warszawy. Znowu przyszli tam bolszewicy i w dwudziestym roku znowu trzeba było uciekać. Na hasło: bolszewicy – stały odzew: uciekać. Dopiero potem wypadło nam zostawać nawet przy bolszewikach. Wtedy uciekłyśmy do Świecia – malutkie miasteczko, wówczas jeszcze nie fabryczne, tylko sielskie. Tam jednak bardzo ciężkie przeżycia, bo Pomorzacy absolutnie nas nie chcieli zaakceptować. Pierwsza noc spędzona po prostu na rynku: nikt nie chciał kobiety z dwójką małych dzieci przyjąć do domu.

Tam także moja mama założyła szkołę. Była osobą energiczną i dosyć władczą, umiała to zrobić. Założyła tam szkołę złożoną z dwóch oddziałów: przedszkolnego – dla najmniejszych dzieci uchodźców, a w drugiej klasie – właśnie już się uczyło czytać, pisać i rachować. Program pewnie też był z powietrza wzięty. Ale umiałyśmy już czytać, no więc mogłyśmy czytać różne rzeczy i pisać. Edukacja moja i siostry trwała rok, a właściwie nawet niepełny rok, po czym – znowu do Wilna. Powrót do Wilna. Wtedy już mogłyśmy iść do „prawdziwej” szkoły; był to już dwudziesty pierwszy rok, więc już jak najbardziej powinnam była się znaleźć w szkole. Ale moja siostra zapadła na chorobę, która wtedy nazywała się „czerwonym reumatyzmem”. Nie mogła chodzić, straciła władzę w nogach. Musiała leżeć i leżała prawie cały rok. Wobec tego mama zdecydowała, że i ja powinnam przy niej zostać. Mama wtedy dostała jakąś pracę urzędniczą i do godziny czwartej była nieobecna, a ja zostawałam z siostrą, żeby jej posłużyć. Już miałam wtedy siedem lat, ale wciąż do szkoły nie chodziłyśmy.

W.Ch.: *Nadal więc była nauka w domu?*

I.S.: Mama uczyła nas po powrocie z pracy. No i dopiero mając lat osiem zdawałam wraz z siostrą od razu do gimnazjum, czyli jak gdyby do piątej klasy podstawowej (tak obliczając na dzisiejsze stosunki). Byłyśmy na tyle przygotowane, że doskonale zdałyśmy obie mimo braku regularnego nauczania według programu szkolnego. Ale ten egzamin polegał na tym, żeby się wykazać właśnie poprawnym czytaniem, pisanem ortograficznym i przyzwoitym „charakterem pisma”, bo to były oczywiście czasy, kiedy się bazgrołów nie hono-

rowało, bo nas uczono od razu kaligraficznego pisma. Poza tym my same bardzo dużo już czytałyśmy i mama poświęcała nam całe popołudnia, no i niedziele, bo soboty były przecież wtedy „pracujące”.

W.Ch.: *Widać ogromną różnicę w porównaniu z wychowaniem dzisiaj, gdzie się duży nacisk kładzie przede wszystkim na szkołę. Przede wszystkim szkoła ma uczyć. Rodzina raczej się odcina od uczenia dzieci.*

I.S.: Wydaje mi się, że byłyśmy daleko lepiej przygotowane, niż gdybyśmy te cztery lata chodziły do szkoły. Ściśle biorąc, miałyśmy za sobą jeden rok szkoły, i to niepełny nawet, w Świeciu, no i później te wieczorne „dochwytki” z mamą, ale tak intensywne, że od razu poszłyśmy do gimnazjum. Byłyśmy słabo przygotowane tylko w zakresie arytmetyki, bo mama to lekceważyła czy nie umiała tego dobrze nauczyć, ale to jakoś naturalnie się szybko wyrównało. Egzamin obejmował religię, polski, elementy historii i arytmetykę, troszkę geografii czy coś takiego.

W.Ch.: *Czy pamięta Pani, co czytałyście wtedy?*

I.S.: Czytałyśmy naturalnie książki młodzieżowe, ale i nowelki Orzeszkowej, Prusa i Sienkiewicza. Już wtedy, mając siedem czy osiem lat. Pamiętam, że trafiało do nas takie „Nasze Pisemko” czy „Moje Pisemko”, bardzo miły magazyn dziecięcy. Ludzie przynosili, pożyczali. Sytuacja mojej siostry, która była przez rok zupełnie przykuta do łóżka, bardzo ludzi poruszała, więc znosili nam książki i mogłyśmy czytać. I myśmy w praktyce cały czas czytały. Trzeba było być przy niej, nie mogła chodzić, nie było radia ani telewizora, nie miałyśmy żadnych zabawek, więc czytałyśmy, po prostu cały czas czytałyśmy.

W.Ch.: *Tak że korzenie Pani wychowania są ściśle związane z literaturą, z książką?*

I.S.: Oczywiście, wyłącznie z książką. Bardzo dużo też nam mama czytała głośno, lubiła to i umiała robić. Przeczytała nam głośno prawie całą *Trylogię*. Na wakacjach na przykład – gdy już jeździłyśmy na szkolne kolonie – zawsze w programie było głośne czytanie. Potem indywidualnie – także czytanie.

Na koloniach letnich, na których spędziłyśmy właściwie wszystkie nasze wakacje szkolne, czytało się co najmniej cztery, pięć godzin dziennie, cały tak zwany czas wolny. Prócz tego było tam pływanie i spacer po lesie, czy coś takiego, ale czas wolny to czytanie. Masę rzeczy przez te kolejne wakacje przeczytałam, począwszy od nowelek Konopnickiej i Orzeszkowej, a skończywszy na Conradzie i Mannie, już w najstarszych klasach. Dziś dzieci i młodzież prawie wcale nie czytają, zwłaszcza na wakacjach. Kiedyś miałam

taką rozmowę krótką, ale bardzo niemiłą, w Rogóźnie, gdzie – jak wiadomo – odbywają się wczasy kulowskie. Te wczasy trwają dwa tygodnie i po tych dwóch tygodniach, bez żadnej złośliwej intencji, zapytałam dwunastoletniego chłopca, co przeczytał przez ten czas. Na to przyskoczyła do mnie matka prawie „z pazurami”: jak ja śmiem takie stresujące pytania mu zadawać?! Oczywiście, że nie przeczytał ani jednego słowa, bo przecież wakacje są po to, żeby nie przeczytać ani słowa. Mama ta jest pracowniczką uniwersytetu!

W.Ch.: *Pani Profesor, proszę powiedzieć, co według Pani dzieci tracą nie czytając? Czy takich samych wartości nie można przekazać obrazem albo dźwiękiem? Co tracą dzieci uciekając od książki?*

I.S.: Ogromny element swojego dojrzewania: obraz człowieka, losów człowieka, zrozumienie odmienności losów i odmienności człowieka. To, co niektóre młodzieżowe książki potrafią pokazać, jak na przykład *Ania z Zielonego Wzgórza*, ten cały znakomity cykl, na którym się wiele pokoleń wychowywało, a dziś powieści pań Musierowicz i Józefackiej. A w zakresie chłopczyńskich lektur też są przecież takie rzeczy warte czytania, choćby sama *Trylogia*, która jednak jakiegoś rycerskiego ducha kształci, formuje poczucie odpowiedzialności za drugiego człowieka i poczucie obowiązku wobec Ojczyzny. A powieści historyczne Gołubiewa, Malewskiej, Królikowskiego? *Honor, Ojczyzna, patriotyzm*. To są zresztą pojęcia wyśmiewane dzisiaj nie tylko przez młodzież, ale wydrwione przez znane koła. Nie wolno używać takich wyrazów, bo to śmieszne i podlega drwinie, o czym wszyscy szeroko wiemy, nie potrzeba tu przykładów. Nie chodzi tu tylko o „Nie” Urbana, ale tak zwane pisma katolickie nieraz też podtrzymują ten nurt ironii. Poza tym samo czytanie jest innym sposobem percepcji świata niż oglądanie albo słuchanie, bardziej refleksyjnym i zintelektualizowanym, wymagającym skupienia i – samotności. Szanowano naszą potrzebę samotności i uczono z niej korzystać!

W.Ch.: *Pani Profesor, proszę mi powiedzieć: bo jednak jest szkoła, ta szkoła ma jakiś swój program, nad którym myślą ludzie chyba kompetentni. Czy Pani uważa na przykład, że program języka polskiego jest zaopatrzony w dobry zestaw lektur? Proszę powiedzieć kilka słów o tym.*

I.S.: Nie, absolutnie nie uważam. Teraz właśnie troszkę na intencję tej rozmowy, którą odbywamy, miałam kilkakrotnie w ręku cały program i zestaw lektur szkolnych. To jest zestaw pomyślany przede wszystkim laicko, z umyślnym wyeliminowaniem literatury religijnej, a także takiej, w której jest obecna religijna wizja świata. To wyeliminowano. W zakresie na przykład obowiązkowej lektury – bo tam mieści się zawsze ubogi zestaw obowiązkowej, tak zwanej podstawowej, lektury i znacznie szerszy, nieraz dobrze pomyślany, zestaw

uzupełniającej lektury – więc w zakresie obowiązkowej lektury, gdzie jest rzeczywiście minimum, nawet gdy idzie o klasyczną literaturę – obowiązuje *Ferdydurke*. To jest literatura podstawowa, czyli obraz szkoły wiadomo jaki: groteskowy, karykaturalny, i ostro piętnujący tę właśnie szkołę, którą ja przeżyłam i którą uważam za znakomitą, szkołę dwudziestolecia okresu międzywojennego. Karykaturalny obraz rodziny i karykaturalny obraz szkoły, żadnego równoważnika w innych obrazach pozytywnych: dojrzewania, oddziaływania pedagogów itd. Jest to absolutnie niezrozumiały wybór i akceptacja. Może w *Ferdydurke* są jakieś głębie metafizyczne, których osobiście ja nie widzę, ale obraz szkoły, wychowania, rodziny, rodziców, którzy tam występują, jest czysto destrukcyjny. Ktoś może powiedzieć: no tak, ale to jest z dystansem pisane, tu jest przedstawiona zła rodzina. Ale nie ma w tym zestawie żadnego równoważnika w obrazie dobrej rodziny: jaka ona bywała, jak rodzina dobrze kształciła człowieka i go wychowywała. Jest tylko ta bardzo ostra, opluwająca rodzinę i szkołę groteska. To mnie naprawdę bardzo wzburzyło.

W.Ch.: *Czy na przykład Sienkiewicz jest obecny w tym zestawie?*

I.S.: No, w bardzo małej porcji, bo *Trylogia* to już za duże tomy, za wielkie obciążenie dla młodzieży! Na ogół przewiduje się, że w ciągu roku młodzież przeczyta dwie duże pozycje i kilka małych. Więc na przykład okres pozytywizmu, tak bogaty w sensie prozy narracyjnej, reprezentowany jest przede wszystkim przez opowiadania i nowele. Jest tylko jedna część *Trylogii* (zazwyczaj *Potop*), bo to byłoby oczywiście zbyt duże obciążenie dla młodzieży, gdyby przeczytała kilka powieści! Orzeszkową reprezentują także tylko opowiadania i nowele (naturalnie żydowskie nowele – to łatwo się domyślić), w zakresie Żeromskiego zaś obowiązuje dziedzictwo poprzednich decyzji: *Rozdziobią nas kruki i wrony* i inne opowiadania ostre społecznie, pokazujące konflikty społeczne. W dużej mierze jest to wszystko dziedzictwo poprzedniej epoki.

W.Ch.: *Czyli nowe czasy tutaj nic właściwie nie wprowadziły. A co zdaniem Pani Profesor należałoby wprowadzić do takiego zestawu lektur? Jakie nowe pozycje?*

I.S.: Na przykład Orzeszkowej *Nad Niemnem*, które figuruje co prawda w nadobowiązkowym, uzupełniającym, zestawie lektur, ale nie w zestawie podstawowym. W zestawie podstawowym występują na ogół dwie powieści na cały rok. W bardzo niewielkim zakresie uwzględniona jest też dramaturgia: Wyspiańskiego reprezentuje *Wesele* i w zakresie lektury uzupełniającej może jeszcze *Noc listopadowa*. Przypominam sobie, że myśmy jednak znali wszystkie dramaty Wyspiańskiego i w mniejszym czy szerszym zakresie oma-

wiali wszystkie dramaty Słowackiego, naturalnie wszystkie sztuki Krasińskiego i Mickiewicza – człowiek wychodził ze szkoły z jakąś wizją romantyzmu. A tu nawet *Dziady* są podzielone na części, bo to za dużo byłoby od razu wszystkie części *Dziadów* zaserwować młodzieży! Niezrozumiałe jest dla mnie to odcięcie młodzieży od wielkiej literatury. W zakresie dwudziestolecia czyta się na ogół dwie, co najwyżej trzy powieści: a więc *Granica* Nałkowskiej, oczywiście też o ostrych konfliktach społecznych, albo *Cudzoziemka* Kuncewiczowej. No i naturalnie Bruno Schulc, Witkiewicz i Gombrowicz, bo „wieszczem był”.

W.Ch.: *Natomiast nie ma ani Zofii Kossak ani Hanny Malewskiej...*

I.S.: Zofii Kossak nie ma w ogóle, nie jest wymieniona. Hanna Malewska figuruje w zestawie uzupełniającym, ale tylko jako uzupełnienie wiadomości historycznych o średniowieczu. Nie jest w ogóle wymieniona jej wspaniała powieść *Przemija postać świata*, czy znakomite opowiadania o Janie Kazimierzu lub o Tomaszu Morusie. To wszystko jest pominięte albo znajduje się tylko w lekturze uzupełniającej. Zofia Kossak zaś w ogóle nie istnieje, podczas gdy *Krzyżowcy* są nie tylko powieścią znaczącą, ale i kontrowersyjną. To nie jest wcale laurka na cześć wypraw krzyżowych, tylko pokazanie właśnie i zbrodni, i zła moralnego tych akcji. Bardzo ostry jest tam ich obraz i wcale nie biało-czarny. Generalnie cała lektura szkolna jest laicko pomyślana. Literatura jakoś naznaczona religijnie i sugerująca religijną problematykę jest właściwie usunięta albo umieszczona wśród lektury uzupełniającej, ale tak jakby mimochodem tylko wymieniona. Podobnie jest w zakresie poezji dwudziestolecia.

W.Ch.: *A jeśli idzie o międzynarodową literaturę, czy na przykład Claudel i Bernanos są obecni?*

I.S.: Nie, absolutnie, żaden z nich nie jest wymieniony. Bardzo znamienita jest – to też wyraźne dziedzictwo minionej epoki – liczna obecność rosyjskich pisarzy, i w zakresie romantyzmu (jest więc na przykład Puszkina i Turgeniewa), i współczesnej literatury – jest na przykład Szołochowa *Cichy Don*. Trzeba przyznać, że w programie międzywojennym, który pamiętam, literatura rosyjska jednak była w dużym stopniu pomijana lub odsuwana na dalszy plan. Teraz jest przegięcie w drugą stronę. Jak porównałam liczbowo te zestawienia, literatura rosyjska nawet nieraz dominuje w zestawach dla poszczególnych okresów: w romantyzmie na przykład – cztery pozycje rosyjskie na tak niewiele innych. Jest też w tych lekturach taki specjalny dział: literatura faktu. Literaturę obozową oczywiście reprezentuje Herling-Grudziński – jest on wymieniany w ogóle trzy – czy czterokrotnie przy różnych okazjach (*Inny świat*, *Opowiadania* itd.), bo „wieszczem był” i jest nadal wieszczem.

W.Ch.: *To jest kolejny temat: literatura obozowa. Jak się pokazuje czasy pogardy w dzisiejszych zestawach lektur?*

I.S.: Właśnie – czasy pogardy. Na szczęście Borowski nie jest tu traktowany jako zasadnicza wiedza o tych obozach, lecz *Medaliony* Nałkowskiej. Jednak Nałkowska i Grudziński raczej akcentują upadek człowieka, jego degenerację: „Ludzie ludziom zgotowali ten los”. Chociaż poprzednio było jeszcze gorzej. Przedtem Borowski reprezentował tę literaturę, mówiąc, że trzeba się upodlić, żeby przetrwać, że to jest najważniejsze. A przecież powinno się pokazać dojrzewanie człowieka do oporu, do ofiary, wyrzeczenia, pomocy drugiemu człowiekowi, do zdobycia się na ryzyko własnego życia, żeby ocalić człowieczeństwo i w sobie samym, i w innych. Istnieją przecież w zakresie literatury niemieckich obozów piękne pozycje: na przykład *Apel* Andrzejewskiego, *Z kraju milczenia* Żukrowskiego, Zofii Kossak *Z otchłani*. Nie, ich nie ma w zestawie lektur. Natomiast gdy chodzi o sowieckie obozy, Herling-Grudziński jest wymieniony jako jedyny (w zestawie podstawowym). Tu koniecznie bym wprowadziła Grażyny Lipińskiej *Jeśli zapomnę o nich*, Barbary Skargi *Po wyzwoleniu* – znakomita rzecz, bo nie tylko wspomnieniowa, ale i problemowa: jest tam problem pracy i problem współżycia narodów. Pokazanie, z jaką problematyką musiał się ten więzień obozu zmierzyć. Znakomita literatura. Pisałam o tym trochę nawet w „Ethosie”². To okazja, żeby pokazać siłę człowieka, jego dojrzewanie, przełamywanie jakichś uprzedzeń, pomoc drugiemu człowiekowi, umiejętność współżycia i ofiary. A także opór wobec zła jako takiego, nie tylko zła reprezentowanego przez władze obozowe, ale tego, co w nas jest uprzedzeniem, niechęcią...

W.Ch.: *Pani Profesor, czy w tych zestawach lektur szkolnych coś poruszyło Panią pozytywnie?*

I.S.: W literaturze podstawowej jest jedna pozycja, która mnie uderzyła w sposób pozytywny, a mianowicie *Rozmowy z katem* Moczarskiego. Jednak jak dotąd w recenzjach i uwagach akcent padał na postępowanie, na to, czego się dowiadujemy od Niemca siedzącego w celi wraz z akowcem. Natomiast ja odczytałam tu coś innego: przecież w tym więzieniu ten kat – wiadomo jaką rolę pełnił on podczas okupacji – jest w sytuacji uprzywilejowanej: ma ordynansa, podwójną porcję obiadową, ma możliwość czytania i pisania. A Moczarski jest tego wszystkiego pozbawiony. Przecież jemu nie wolno było nawet nic napisać, nie miał dostępu do pióra i papieru, on to musiał wszystko spamiętać, bo kolejne rewizje zabierały mu wszystko. Na posiłki otrzymywał

² I. Sławińska, *My i Oni w polskiej literaturze łagrowej*, „Ethos” 5(1992) nr 17, s. 191-196.

porcję więzienną najgorszego gatunku. Coś to mówi o ówczesnych władzach PRL. Z oburzeniem czytałam to właśnie w tym aspekcie. Nikt na to jakoś nie zwraca uwagi.

W.Ch.: *W ogóle okres komunizmu w Polsce i związanych z nim postaw ludzkich jest mało poruszany w literaturze. Jest tutaj u nas wielka biała plama.*

I.S.: Jest wielka biała plama, bo sympatia autorów zwraca się do tych, którzy mogliby dziś zostać postawieni pod pręgierzem. Teraz ostatnio będąc w Paryżu przeczytałam uważnie *Rozmowy z Piotrowskim*. Przecież my się musimy litować nad Piotrowskim! On się pewnie nawrócił, taki szlachetny! O zamordowanym księdzu Popiełuszcze tam mowy nie ma Piotrowski jest bohaterem tej książki. Dziś sympatia większości pisarzy, a także „decydentów” jest po stronie tych, którzy mogliby być teraz oskarżeni czy wyszydzeni. Przecież Pan dobrze o tym wie.

W.Ch.: *Pani wspominała przy różnych innych okazjach, że Pani proces wychowawczy przebiegał z jednej strony na płaszczyźnie intelektualnej – to była przede wszystkim literatura, książka – a z drugiej strony bardzo duży akcent kładła Pani na zajęcia fizyczne, sportowe. Mając dziesięć lat po raz pierwszy wsiadła Pani na konia, a dzisiaj w wiatrówce chodzi Pani zimą po Lublinie.*

I.S.: Nie tyle mojemu domowi to zawdzięczam, co szkole i całemu klimatowi nie tylko w sensie dosłownym, całej atmosferze Wilna. Wychowaliśmy się nad rzeką, blisko jezior, wśród wzgórz ośnieżonych przez trzy albo cztery miesiące w roku. To prowadziło do bliskiego obcowania z przyrodą. Bo ja nigdy w kategoriach sportowych nie myślałam o moich wycieczkach, kajakach, tylko w kategoriach poznawczych raczej, to była turystyka. Wtedy i narty to była turystyka narciarska. Jeździło się na nartach do sąsiednich miejscowości: do Nowej Wilejki przeważnie, na Belmont, a nie z jednej górki tysiąc razy zjazd – jak to teraz narciarstwo wygląda. Podobnie wyprawy kajakowe to były spływy kajakowe poznawczo cenne i tak właśnie ustawione. Płynęliśmy do Wilna spod granicy łotewskiej, wśród jezior, cudowną, najpiękniejszą rzeczką świata, czyli Żejmianą, potem Wilją, nocując gdzieś tam po brzegach w namiotach. Początkowo, gdy nie mieliśmy namiotów, to uplatało się wigwamy z liści. Nigdy na żadne sportowe wyczyny i rekordy nie byłam nastawiona. Miałam jedną tylko taką ambicję, zresztą niespełnioną: chciałam bardzo być mistrzynią Wilna w pływaniu. Ale wtedy rozchorowałam się z powodu nadmiernego treningu. To były takie rekordy lokalne, bo nie było tam żadnego basenu pływackiego i ćwiczenia odbywały się tylko na rzece lub na jeziorach. Ale właśnie okres szkolny i zwłaszcza potem uniwersytecki

wspominam sobie w tym aspekcie jako okres cudowny. Zresztą przedłużył się dla mnie. I w Toruniu i w Lublinie ciągle brałam udział w wędrówkach górskich i w spływach kajakowych. Ale to nie było nigdy nastawienie na sport i na wyczyny sportowe, ale na inne wartości i na poznawczą turystykę i obcowanie z górami, obcowanie z wodą, które sobie bardzo cenię i które jest mi bardzo do szczęścia potrzebne. Na przykład tę moją książkę o współczesnej refleksji o teatrze w dużej mierze napisałam w Rogóźnie, w lesie i nad wodą.

W.Ch.: *I do dzisiaj jest Pani obieżyświatem... I do dzisiaj Pani pływa. To trzeba powiedzieć.*

I.S.: Tak, tak, jestem obieżyświatem i chętnie się przyznaję do tego zaszczytnego miana. Wybieram się właśnie przecież do Ameryki. A mam za sobą wyprawę do Francji, co prawda naukowo ustawioną, ale zawsze ciekawa poznawczo i turystycznie.

W.Ch.: *Do Ameryki jedzie Pani Profesor z wykładami?*

I.S.: Nie, nie. Dla pożegnania Ameryki i pożegnania przyjaciół, których mam wielu i których sobie bardzo, bardzo cenię. Mam tam swoich byłych studentów. Moja była studentka nam to wszystko organizuje. Studentka-Amerykanka z Brown University.

W.Ch.: *Pani Profesor, w swoich wspomnieniach pisze Pani bardzo dużo na temat jak gdyby trzeciego wymiaru wychowania młodego człowieka – religii. Związek z Kościołem i z religią katolicką – kiedy to w Pani życiu zaistniało?*

I.S.: Związek z Kościołem i społecznie pomyślanym katolicyzmem zawdzięczam nie tyle mojej mamie, co księżom i atmosferze, z jaką spotkałam się na uniwersytecie. Troszkę już to opisałam, zwłaszcza w zakresie szkoły średniej. Rzecz była drukowana, jak Pan pamięta, w „Ethosie”³. Trudno tutaj o uogólnienia, ale po roku 1919 czy 1920, kiedy się zaczęło normalne życie na uniwersytetach, również odżyło i życie religijne. Nawet nie wiem, czy mam prawo użyć słowa „odżyło”, bo to były zjawiska zupełnie przecież nowe, które wtedy się w Polsce dopiero rodziły. W jakiejś formie istniało przedtem życie religijne młodzieży przede wszystkim w sodalicjach. To była formacja dawniejsza, zależna ściśle od Kościoła, z moderatorem księdzem, który sprawował władzę naczelną. Otóż w latach dwudziestych, poczynając już może od roku 1918 czy 1919, odżyło to życie religijne w innych formach, bardziej niezależ-

³ I. Sławińska, *Formacja religijna młodzieży wileńskiej w okresie II Rzeczypospolitej* „Ethos” 3(1990) nr 9/10, s. 135-143.

nych od Kościoła. Mam na myśli organizację, do której należałam: *Juventus Christiana*, zainicjowaną jeszcze w gimnazjach mińskich przez księdza Szwejnica, o którym powiemy sobie potem jeszcze obszerniej.

Juventus Christiana była organizacją skupiającą i dziewczęta, i chłopców – to wielkie novum w zakresie życia religijnego odmienne od sodalicji, która zupełnie inaczej rozwijała się wśród dziewcząt, a inaczej wśród chłopców. Więc koedukacyjna organizacja, wspólne zebrania, wspólne nawet rekolekcje, co było także wielką rewolucją i wielkim novum, i wspólne obozy letnie – wielka sprawa, która wywołała nawet burzę protestów, podejrzeń i kontrowersji. Uważam tę organizację za niezwykle ważny etap także mojego życia, ponieważ zakładała ona nie tylko – że tak powiem – przyzwyczajenie do chrześcijańskiego życia, ale i permanentne samokształcenie religijne. Warto to podkreślić, bo dzisiaj wszystkie tego typu organizacje czy stowarzyszenia abstrahują prawie zupełnie od wiedzy religijnej, od wykształcenia religijnego. Cały nacisk pada na przeżycie, na doświadczenie wiary i miłości. Może to pogłębione, ale zupełnie właściwie wyklucza lektury religijne i wiedzę religijną. Zebrania *Juventus* zasadniczo były przewidziane co tydzień, w stały dzień tygodnia i zawsze w programie miały jakieś sprawozdanie z lektur i zachętę do lektury, dyskusję na ten temat. Zawsze dyskusji towarzyszył komentarz Ewangelii. To także wielka różnica w stosunku do dzisiejszych obyczajów różnych spotkań młodych, gdzie przede wszystkim Stary Testament jest przedmiotem odniesienia. A tu główną intencją było bliższe poznanie Ewangelii poprzez lekturę skupioną na drobnych fragmentach Ewangelii, przygotowanym komentarzu i dopiero wymianie refleksji na ten temat.

W.Ch.: *Czy w takich spotkaniach brał udział ksiądz?*

I.S.: Nawet nie zawsze, a jeśli już, to w charakterze doradcy; taka była nawet jego oficjalna nazwa: „doradca koła”. Druga zasada tych spotkań, to zawsze zebrania w małych grupach. *Juventus* dzieliło się na koła. Zasada ogólna: koło nie mogło przekraczać liczby dwudziestu członków. Bardzo mądre i życiowe principium, że przyjaźń rodzi się w małym, mniejszym gronie, nie w anonimowym tłumie. Poza tym dużo było radości, wycieczek, turystyki wspólnej i obozów, które początkowo wywoływały wielkie podejrzenia i nawet protesty władz kościelnych. Ale myśmy byli niezależni od władz kościelnych. *Juventus Christiana* to było stowarzyszenie akademickie podległe rektorowi. W kontrowersyjnych sprawach decydował rektor. Obozy były pod namiotami, oczywiście odrębnymi dla dziewcząt i dla chłopców. Ale wspólna Msza św. rano, wspólne gawędy co wieczór, przygotowane i problemowe – ogromnie ważny czynnik naszego dojrzewania. I sprawozdania z lektur: tam poznaliśmy katolicyzm francuski właśnie poprzez relacje i lektury Maritaina, Gilsona i innych filozofów.

Wznowiliśmy tę organizację po wojnie, została jednak już w 1948 roku zakazana. Ale nieoficjalnie przetrwała dłużej i nadal przy KIK-u warszawskim raz na miesiąc odbywają się spotkania pod szyldem „Sekcja ewangelijna KIK-u”. To są seniorzy; ten krąg seniorów się ukonstytuował i potem już się także trzymał ze sobą; seniorzy ci spotykają się nadal.

W.Ch.: *Pani Profesor, proszę powiedzieć coś o założycielu Juventus Christiana, Pani go znała przecież osobiście.*

I.S.: Oczywiście znałam go, chociaż ks. Edward Szwejnic umarł bardzo młodo. Był niezwykle dynamicznym księdzem, ale nie z tych, co to tylko prowadzą wycieczki w Tatry (potem się i tacy znaleźli). Był przede wszystkim etykiem i autorem bardzo wtedy wysoko cenionego i uznawanego w szkołach, a także i na uniwersytecie podręcznika *Etyki*. O wznowienie tej *Etyki* bardzo zabiegali jego wychowankowie, ale jak dotąd jakoś bezskutecznie.

To również postulat dla Instytutu Jana Pawła II albo może dla Katedry Etyki ks. Stycznia i tych spośród Państwa, którzy mają jakiś głos w tej mierze.

Juventus Christiana zrodziła się w Mińsku Litewskim. Tam się zebrało pierwsze grono jako pewna odpowiedź na agresywną już wtedy bolszewizację nie tylko polityczną, ale i ideową, związaną oczywiście z ateizacją. Drugim pionierem i postacią niezwykle ważną dla Juventus był ks. Edward Detkens, zamordowany w Dachau, po którym zostały wspomnienia i pamiątniki, i monografijka, która potem powstała.

Ks. Szwejnic był bardzo niekonwencjonalny w swoich metodach wychowawczych. To było bardzo szeroko znane. Istnieje anegdota, ponoć autentyczna, powtarzana szeroko po całej Warszawie, a dotycząca takiego właśnie „chwytu” pedagogicznego ks. Szwejnica, jaki miał miejsce w Warszawie, a ściślej w tramwaju warszawskim, jak zawsze zatłoczonym w godzinach południowych. (Wówczas kursował jeszcze po Nowym Świecie i Krakowskim Przedmieściu – co dobrze pamiętam.) W takim tramwaju znalazła się grupa studentów i studentek wracających z zajęć. Studenci zajęli miejsca siedzące, a studentki stały. W pewnym momencie jedna do drugiej powiedziała, że jest bardzo zmęczona, bo cały dzień stała w laboratorium. Na to jeden ze studentów odezwał się głośno: „Owszem, jest miejsce, ale na moich kolanach”. Wtedy nastąpiło poruszenie, zauważalny ruch w tramwaju i z drugiego końca ktoś się przepycha ku temu studentowi i siada mu na kolanach – zwalista i potężna postać ks. Szwejnica. „Usłyszałem, że jest tu miejsce”. Oczywiście wielkie poruszenie w całym tramwaju, ludzie się śmieją i czekają ciekawi, co z tego wyniknie, wobec tego nikt nie wysiada, tłok coraz większy. Student kuli się pod takim „słodkim ciężarem i chyba kuli się ze wstydu przede wszystkim. Kiedy tramwaj już przejechał całą tę linię i Krakowskie Przedmieście, ks. Szwejnic wysiadając powiedział studentowi bardzo ostro: „Mam nadzieję, błźnie jeden,

że ta nauka wystarczy ci na całe życie”. „Tak jest, proszę Księdza rektora” usłyszał piskliwy i zawstydzony głosik w odpowiedzi. Rzecz rozeszła się szeroko po Warszawie i nie tylko po Warszawie, i myślę, że miała jakiś rezonans także wśród młodzieży.

W.Ch.: *Pani Profesor, powiedziała Pani w trakcie rozmowy, że katolicyzm, czy w ogóle ruch chrześcijański, był wtedy jakoś „społecznie pomyślany i odczuwany” – takiego sformułowania Pani użyła. To by jakoś przeciwstawiało się opinii, że katolicyzm francuski i inne nowe prądy kładły nacisk wyłącznie na indywidualizm.*

I.S.: Indywidualizm był przede wszystkim dziedzictwem XIX wieku i religijności typu indywidualnego mającej korzenie romantyczne. Ona miała długotrwałe tradycje i reperkusje, nawet w życiu rodzinnym. Nie pamiętam na przykład u nas w domu nigdy wspólnych modlitw rodzinnych. Moja matka wychowała się w domu protestanckim, ewangelickim, gdzie modlitwy z rodzicami były niedopuszczalne, bo dziadek się temu ostro przeciwstawiał – był bardzo wrogo ustosunkowany do Kościoła katolickiego. Ja to doskonale pamiętam do dziś. Dziadek nie był bynajmniej w tej dziedzinie liberalny. Był człowiekiem wielkiej kultury, ale jednak bardzo niechętnie patrzył na wszelkie przejawy katolicyzmu, dlatego u nas w domu nigdy nie było wspólnych modlitw, na przykład wieczornych. Do Komunii św. też zostaliśmy przygotowane indywidualnie przez bardzo mądrą i pobożną panią Jeleńską. Tak że nie było wspólnej dla wielu dzieci pierwszej Komunii św. (zresztą dzisiaj przeradza się ona często w wydarzenie raczej natury towarzyskiej). Tego też nie było zupełnie. To były inne formy. Ja swemu domowi rodzinnemu niewiele pod tym względem zawdzięczam, daleko więcej Stowarzyszeniu, które inspirowało i permanentną lekturę, i kształcenie się, i w ogóle formację duchową. Francuski znaleźmy dobrze prawie wszyscy, więc lektura w języku obcym nie była dla nas żadną trudnością. Potem Msze św. recytowane. Pierwsze Msze św. recytowane to przecież jest epoka moich studiów. To także było wielkie wydarzenie i jednak znaczący element integracji i udziału w liturgii. Dobra znajomość łaciny otwierała drzwi do Kościoła powszechnego. Jak się człowiek znalazł za granicą, to się natychmiast odnajdywał w tym samym Kościele.

W.Ch.: *Pani Profesor, wtedy wybuchła również w Wilnie sprawa s. Faustyny. Jak Pani się zetknęła ze sprawą s. Faustyny? Czy znała ją Pani?*

I.S.: Bywałam w tym klasztorze, gdzie przebywała s. Faustyna, z moją matką na jasełkach, które wystawiały podopieczne tych sióstr (dziewczyny z marginesu). To się tam właśnie wszystko odbywało, bo przecież te siostry – czego zupełnie film *Faustyna* nie pokazał – zajmowały się tzw. upadłymi dzie-

wczynami. Tam było dość szczególne zgromadzenie takich osób i właśnie Matkę Boską w jasełkach grała podobno – jak tam naszeptywały nam siostry – prostytutka, ale grała bardzo pięknie, z wielkim przejęciem i w sposób budzący bardzo szlachetne przeżycia. Te wszystkie wydarzenia z przyszłą świętą działały się prawie na moich oczach, bo ks. Sopoćko, który zaangażował się w tę sprawę, wykładał na uniwersytecie, znaliśmy go dość dobrze. Cała ta sprawa dojrzewała w moich latach uniwersyteckich. Ten obraz Chrystusa, namalowany z inspiracji s. Faustyny, jest po prostu kiczem, więc nie wzbudzał naturalnie naszego entuzjazmu.

W.Ch.: *Ona sama zresztą też bolała nad tym obrazem. Ale czy w mieście była wówczas atmosfera aprobaty czy raczej skandalu i sensacji odnośnie do jej osoby?*

I.S.: Raczej aprobaty. Ks. Sopoćko też nie był postacią bardzo popularną na Uniwersytecie. Nie było może jakiegoś wielkiego entuzjazmu na skutek tego, że ten obraz nie był udany, ale atmosfera była przychylna. To ks. Sopoćko rozhuśtał. Bez niego nie doszłoby wcale do akceptacji obrazu ani do całej tej sprawy. To on się tak głęboko zaangażował w te objawienia.

W.Ch. *A co Pani sądzi o samym filmie Łukaszewicza, który niedawno ukazał się na ekranach?*

I.S.: On podobno został nawet nagrodzony na Festiwalu Filmów Katolickich. Ja osobiście nigdy bym mu żadnej nagrody nie przyznała, bo pokazuje to życie zakonne bardzo jednostronnie i – powiedziałabym – nawet banalnie. Eksponuje te ciągłe spowiedzi s. Faustyny – też element bardzo drastyczny i niewłaściwy, moim zdaniem, dla filmu. Ten film nieustannie pokazuje przecież te rozmowy w konfesjonale i przy konfesjonale. Po wtóre nie pokazuje wcale pracy sióstr. Owszem, one tam ciągle dźwigają chleby czy worki, ale nie wiadomo, dla kogo je dźwigają i co one tam właściwie robią. Pracy z ludźmi reżyser prawie nie pokazuje. A to przecież uderzające, zwłaszcza dla mnie, która wiem, czym się ten zakon tam zajmował. Był zresztą położony w bardzo pięknej scenerii, bo wśród gór, tych pagórków wileńskich, które się nazywały Rowy Sapieżyńskie. A tu tej urody krajobrazowej też jakoś niewiele i zupełnie brak pracy tych sióstr, jakiejs indywidualności zgromadzenia, szczególnego ich powołania – tego wszystkiego tutaj nie ma.

W.Ch.: *Pani Profesor, przejdźmy teraz do Pani uniwersytetów – i do ludzi.*

I.S.: Błogosławię Boga, że pozwolił mi urodzić się w Wilnie i w takim środowisku dojrzewać i kształcić się. Ja weszłam na Uniwersytet bardzo mło-

da, nie mając jeszcze siedemnastu lat. To był najbardziej okres formacyjny. Rzeczywiście Uniwersytet Stefana Batorego skupił wtedy ludzi bardzo niezwykłych. Mam na myśli nie tylko obsadę polonistyczną, która też wtedy była wysokiej klasy, ale cały ten zespół, z którym dane nam było współpracować czy z którego bogactwa duchowego dane nam było korzystać. Największe osobowości na Uniwersytecie lokowały się chyba poza gronem moich najściślejszych wykładowców. Przede wszystkim prof. Marian Zdziechowski – chyba nie trzeba go charakteryzować, bo jego klasa i ranga nie słowiały i wszyscy wiedzą, jak niezwykłym był człowiekiem, jak niezwykłą miał formację, horyzonty naukowe i myślowe. To nie tylko filozof, ale znawca kultury europejskiej o niezwykle rozległych perspektywach, i historycznych, i geograficznych. Prowadził na przykład wykłady o *Fauście*, podejmował je na błagania studentów kilkakrotnie, o romantyzmie francuskim, no i o Rosji. To były wykłady podbudowane właśnie bardzo silnym zagłębieniem się w całą filozofię i w kulturę danego kraju i epoki. Konteksty te były niezmiernie cenne, chociaż my, wychowankowie czy adherenci Kridla, teoretycznie w naszych badaniach literackich uczyliśmy się skupiania tylko na samym dziele i na jego formie literackiej. A u Zdziechowskiego było to zupełnie inne spojrzenie: nie w kontekście ściśle historyczno-literackim, ale właśnie filozoficznym i historiozoficznym.

W.Ch.: *On miał poczucie zbliżającej się katastrofy, prawda?*

I.S.: No tak, oczywiście. Przecież ciągle to głosił, widział wyraźnie to, co jest przed nami. Ostatnia jego książka wydana w czarnej obwódkce nosiła tytuł *W obliczu końca*. Wiedział, że ta katastrofa przyjdzie ze Wschodu, a nie z Zachodu, zasadnicza katastrofa, która zaleje świat. Tego, co się działo w Rosji, nie wahał się nazywać dziełem szatana. Widział tu elementy satanistyczne, pokazywał, jak dojrzewały i jak drażyły tę literaturę od dawna. Między innymi miewał przecież bardzo głębokie i przerażające wykłady o Dostojewskim, ale z drugiej strony pokazywał też, jak głęboka jest myśl religijna Wschodu, na przykład u Bierdiajewa, Szestowa. Znał ich wszystkich – jego bardzo rozległa świadomość religijna i filozoficzna musiała wszystkich podbijać. Chociaż miał też swoich wrogów: i wśród komunizującej młodzieży, zafascynowanej tym, co się dzieje w Rosji, i wśród swoich kolegów, którzy odnosili się pobłażliwie do takich „urojeń i fanatyzmu”.

Ale już na przykład prof. Tadeusz Czeżowski był niewątpliwie postacią nieprzeciętną i szlachetną, nawet przy całym tym swoim laickim ustawieniu. No, prof. Henryk Elzenberg. Właśnie – to było dla nas też wielkie objawienie. Jego krystalicznie czysta linia rozumowania i cała filozofia wartości, którą on przecież już wtedy w Wilnie wypracował i przedstawiał. Elzenberg był dla nas postacią niezwykle ważną, ale zaćmiewał go właściwie Zdziechowski oraz

druga postać naczelną w naszej formacji: prof. Stanisław Kościałkowski. Obaj głęboko religijni. Kościałkowski zdobył nas może nie swoją wiedzą, ale swoim stosunkiem do człowieka, etyką i jeszcze jednym elementem, który jakoś zdaje się bezpowrotnie – jak na razie – zaginął: swoistą ascezą, którą ci uczeni praktykowali. Przecież żyli na poziomie najuboższego robotnika, a fundowali stypendia, nieraz stypendia zagraniczne. Z takimi postawami nie spotkałam się już nigdy, nawet na KUL-u. Prof. Kościałkowski był historykiem i przede wszystkim historykiem Wielkiego Księstwa Litewskiego. Głęboko nas wiązał z regionem, z poczuciem „ojczyzny domowej”, małej ojczyzny, poczuciem, które wtedy było bardzo silne. Uczył nas postrzegać i pojmować zobowiązania wobec „ojczyzny domowej”, miasta, wobec całej naszej historii, Unii, odpowiedzialność za to Wielkie Księstwo Litewskie, które jest naszą „ojczyzną domową” w tym sensie, że jesteśmy znad Niemna, ale i Polacy – jak powiedział to o Lelewelu Mickiewicz: „Gdziekolwiek się obrócisz, z każdej wydasz stopy, żeś znad Niemna, żeś Polak, mieszkaniec Europy”. Takie nauki, jak i te odniesienia, były dla nas wtedy bardzo żywe.

W.Ch.: *Pani Profesor, proszę powiedzieć, jak to było, gdy wybuchła wojna? Co się stało z Uniwersytetem i z tymi ludźmi?*

I.S.: Te sprawy zostały już opisane szczegółowo przez prof. Piotra Łossowskiego i przez prof. Leonida Żytkowicza, który był świadkiem koronnym tych spraw⁴. Ponieważ cała Wileńszczyzna została najpierw oddana na sześć tygodni Białorusi, a potem przy końcu października Litwie, na zasadzie: divide et impera, jak to nazwał prof. Konrad Górski w swojej obszernej wydanej drukiem relacji o tych czasach i ziemiach⁵; Uniwersytet został przez Litwinów przejęty i przez nich zamknięty 15 grudnia 1939 roku. Wszyscy ludzie zostali zwolnieni, z bardzo małymi wyjątkami, mianowicie tymi, którzy nie opowiedzieli się po stronie protestujących. Został prof. Otrębski, lituanista – bardzo przez tamtejsze władze ceniony. Uważał za możliwe zostanie i został o to poproszony. Pani prof. Mayenowa przez jakiś czas też tam prowadziła dalej zajęcia, ale to już była inna uczelnia. Właściwie całe grono wykładowców zostało usunięte, no i studenci.

W.Ch.: *Co się stało z Panią Profesor, wtedy w trzydziestym dziewiątym?*

⁴ Zob. *Likwidacja Uniwersytetu Stefana Batorego przez władze litewskie w grudniu 1939 r.: dokumenty i materiały*. Zebrał i wstępem opatrzył Piotr Łossowski, Warszawa 1991; L. Żytkowicz, *Towarzystwo Przyjaciół Nauk w Wilnie 1907-1940*, w: *Księga pamiątkowa Towarzystwa Naukowego w Toruniu 1875-1975*, Toruń 1976, s. 49-75.

⁵ Zob. K. Górski, *Autobiografia naukowa*, „Kwartalnik Historii Nauki i Techniki PAN” 1982, nr 3-4, s. 535-570.

I.S.: Wracałam z Paryża, ze stypendium. Najpierw – pierwszy etap bardzo krótki – to był mój pobyt w litewskim domu w Kownie, gdzie pewien dygnitarz litewski pragnął, żeby dzieci uczyły się francuskiego od kolebki, tak jak to dziś jest modne z angielskim. Byłam tam niedługo, bo właśnie otrzymałam inną propozycję – przejścia do polskiego dworu i uczenia młodzieży starszej, która naprawdę chciała się uczyć. A te czteroletnie dzieci w Kownie, oczywiście, nie miały ochoty na naukę. Były po prostu jeszcze za małe. To bezsensowne, gdy dzisiaj język angielski wprowadza się w przedszkolu. Snobizm rodziców i nic więcej. Wtedy to też był snobizm owego dygnitarza litewskiego. Etap ten skończył się prędko i znalazłam się w domu polskim, we dworze, z szablami na kilimie, na prawdziwej Żmudzi, w rodzinie bardzo kulturalnej, z piękną biblioteką i z niezwykłą zupełnie dziewczyną, którą dane mi było uczyć. Miała na imię Irena, ale nazywało się ją Kicią, bo za dużo Iren się wtedy zgromadziło w tym domu. Siedemnastoletnia, niezwykle uzdolniona i pod każdym względem niezwykła. Pytają mnie niekiedy, czy ja w swoim życiu spotkałam świętych – wskazuję bez wahania na nią. Umarła bardzo wcześnie, zresztą wiedziałam, że tak będzie. Miała wyjść za mąż. Ale ja jej powiedziałam: „nigdy nie wyjdiesz za mąż”. „Dlaczego?” zapytała. „Bo Bóg Izraela jest Bogiem zazdrosnym” – powiedziało mi się tak jakoś spontanicznie. Umarła na dziesięć dni przed planowanym małżeństwem.

W.Ch.: *Okres wojny w życiu Pani Profesor to temat na osobną długą rozmowę. Wiadomo z innych Pani publikacji, jak bardzo dramatyczny był to czas. Spotkała Pani trupy, ofiary i uczestniczyła Pani bezpośrednio w tych zajściach (Glinciszki). Znane też są zdarzenia, gdy cudem Pani wyszła z życiem. Mimo to wszędzie Pani dostrzega pewną iskrę jakiejś łaski, prawdy i dobra? Nie tylko zło, nie tylko ciemność.*

I.S.: Takie jest przesłanie trzech napisanych ostatnio przez mnie przypowieści, pod tytułem *Pożegnanie „wroga”*. Przekazałam je do księgi pamiątkowej profesora Kłoczowskiego. Dzielę się tą małą trylogią także z Czytelnikami „Ethosu”.

W.Ch.: *Pani Profesor, jak znalazła się Pani w Toruniu?*

I.S.: Przede wszystkim trzeba sprostować opinię, że inteligencja polska dobrowolnie opuściła Wilno; to nieprawda. Myśmy zostali najpierw wyrzuceni z mieszkań, wszystko straciliśmy, straciliśmy pracę... Zostaliśmy po prostu zmuszeni do wyjazdu. Zwłaszcza moja rodzina. Może nie wszystkich to spotkało, ale nas wyrzucono. Ostatnie miesiące pobytu w Wilnie to było wspólne bytowanie trzech rodzin – w pomieszczeniu bez okien, bez opału, bez środków do życia. 1944 na 1945 rok – cała okropna zima. Oczywiście wtedy, kiedy wprowadzono –

za pomocą takich „argumentów” przygotowując nas na to – możliwość wyjazdu, tośmy się zgłosili. Ja osobiście chciałam jednak zostać w Wilnie i byłabym została, gdyby nie to, że moja rodzina we mnie tylko widziała oparcie. Mój szwagier był w łagrach, nie wiadomo było, czy w ogóle kiedykolwiek wróci; moja siostra miała małe dziecko moja matka była już w wieku emerytalnym, a właściwie poemerytalnym, ja zatem byłam jedyną podporą tej rodziny. Musiałam się więc podporządkować i wyjechać. Wyjechaliśmy najpierw do Białegostoku, bo nie było wtedy innych możliwości – tylko Lublin i Białystok. Z Lublinem nic mnie absolutnie nie wiązało. Zresztą w zakresie studiów polonistycznych KUL miał złą opinię, filozoficznych też. Dotyczy to okresu przed wojną. Nie było tam wówczas ludzi, takich osobowości naukowych, które mogłyby przesłonić naszą wileńską obsadę. Nikogo takiego nie było, przynajmniej w zakresie humanistycznego składu. Ja nawet byłam w Lublinie przedtem, ale mi na myśl nie przyszło, żeby wejść do tego gmachu. W więc Białystok. Tam miałam koleżankę, która potem była kuratorem, potem wiceministrem – Eugenia Krassowska to moja bliska koleżanka, przyjaciółka. Więc ona nas tam ściągnęła. Najpierw moja siostra wyjechała z dzieckiem, wcześniej, a potem ja z matką. Tam rzeczywiście nazajutrz po przybyciu, i to najdosłowniej w świecie, poszłam do szkoły uczyć, bo nie było kadry w szkołach średnich. I tam mnie też dosięgło zaproszenie od formującego się już wtedy uniwersytetu w Toruniu. W lecie 1945 roku już tam dotarłam. To też opisałam w książce *Uniwersytet Toruński*, która już wyszła drukiem⁶. Na razie pojechałam oczywiście tylko na rozmowę z profesorami, dlatego że trzeba było jeszcze aż do 1 października włącznie uczyć młodzież w Białymstoku, a było tej młodzieży bardzo dużo. Chciała zdawać maturę, dostać się na uniwersytet. Tak że miałam pełne ręce roboty. Zresztą bardzo mile wspominam do dziś tę młodzież białostocką. A potem przyszły lata toruńskie, organizowanie uniwersytetu od zera, bardzo przecież i czasochłonne, i absorbujące, i angażujące.

W.Ch.: *Z jakimi ludźmi Pani Profesor tam była, bo to przecież od razu zjechało całe prawie grono wykładowców z Wilna...?*

I.S.: Tak, Czeżowski, Elzenberg, Srebrny trochę później przybył. Prof. Stefan Srebrny też był przecież bardzo piękną i znaczącą osobowością w moim kierunku zainteresowań. Tam, w Wilnie, były właściwie początki teatrologii uniwersyteckiej: to byli Srebrny i Limanowski. Całe to towarzystwo znalazło się później w Toruniu. Potem nagle się zaczął szereg śmierci; poumierali dość prędko: Elzenberg, Limanowski, Makowiecki, Kucharski. Tak więc wielu profesorów od razu odeszło – taka jakby reakcja przesiedleńcza.

⁶ Zob. I. Sławińska, *Mój Toruń (1945-1949)*, w: *Uniwersytet Mikołaja Kopernika. Wspomnienia pracowników*, red. A. Tomczak, Toruń 1995, s. 257-264.

W.Ch.: *Jak gdyby zostali wykorzenieni.*

I.S.: Albo nagły akt odprężenia po wojennych trudach i napięciach.

W.Ch.: *Pani Profesor, jak to było na początku? Czy były nadzieje, że to będzie normalny uniwersytet? Była przecież praca, były – Pani o tym już mówiła – reaktywowane spotkania Juventus Christiana...?*

I.S.: Te pierwsze lata były wspaniałe. W ogóle pierwsza zorganizowana opozycja, to była opozycja jednak młodzieży religijnie jakoś uformowanej. Pierwszy zjazd ogólnopolski Katolickiej Młodzieży Akademickiej odbył się w Poznaniu jesienią 1945 roku. Tam poznałam Kłoczowskiego, Czartoryskiego, był też chyba Woźniakowski. Skrzyknęła się cała młodzież katolicka. Aresztowano nas tam szybko wszystkich, zamknięto. Ale to na szczęście rozwiązało się wyjątkowo dobrze, chociaż byliśmy przygotowani na więzienie – szczęśliwie rektor Uniwersytetu Poznańskiego Stefan Dąbrowski zajął wtedy tak nieugiętą postawę: przyszedł i powiedział, że on nie wyjdzie, dopóki ostatni student nie zostanie uwolniony. Sam przyszedł, uznał się też za więźnia. Oni, władze, jakoś zlekli się wtedy jeszcze skandalu, którym było aresztowanie takiej masy ludzi. Ale w każdym razie to była pierwsza forma opozycji wobec komunizmu w Polsce, wcale nie żadne KOR-y, wcale nie lewica, tylko chrześcijańska młodzież. I te więzi się utrzymały pod szyldem Caritas Academica. To był wtedy szyld oficjalny dla wszystkich stowarzyszeń katolickich i zarazem szyld dla wszystkich obozów młodzieżowych, które się odbywały i które miały charakter wyraźnie opozycyjny. Bez żadnego błogosławieństwa czy pozwoleń odbywały się takie obozy: i nad morzem, co opisał Raszewski w swoich wspomnieniach, i w górach. To myśmy organizowali je wspólnie z Warszawą. Tak że co roku były takie całomiesięczne „obozy szkoleniowe”. Był na nich obecny element religijny, była Msza św. itd. To była opozycja właśnie w sensie ideologicznym, duchowym. Mieliśmy poczucie więzi młodzieży. Mieliśmy na tych obozach przecież poznaniaków, i młodzież z innych ośrodków. To była pierwsza forma zorganizowanej opozycji. Jednak Caritas Academica szybko została zdelegalizowana.

W.Ch.: *Pani Profesor, czy zarówno na tych obozach, jak i w Toruniu na Uniwersytecie była jasna i wyraźna świadomość zagrożenia, czy też była raczej taka świadomość: może się jakoś dogadamy z komunistami?*

I.S.: Nigdy nie wierzyliśmy, że się dogadamy. Toż znaliśmy tych naszych sąsiadów zza Buga doskonale! Wiedzieliśmy, że z nimi nie ma żadnych kompromisów, że nie ma mowy o żadnym dogadaniu się, o żadnej współpracy, o żadnych formach ustępstw. Wiedzieliśmy, że to niemożliwe, no i przecież

ta młodzież przeszła już przez więzienia i areszty. A my, moje pokolenie adiunktów: czy ściślej mówiąc – starszych asystentów (bo władze nie chciały nawet uznać nas za adiunktów, mimo doktoratów) – myśmy zostali wyrzuceni, a profesorowie tylko zawieszeni w prawach wykładania.

W.Ch.: *Pani Profesor, to więc wówczas opozycja była już bardzo wyraźna, walka musiała być już wtedy bardzo zdecydowana. Jak reagowali wtedy uczeni?*

I.S.: W większości podjęli tę walkę, oczywiście na sposób duchowy. No, na przykład prof. Elzenberg był postacią, jak wiadomo, bardzo piękną w każdym sensie tego słowa. Bardzo spokojny, nigdy o nikim nie mówił źle, nawet całą walkę ideową jaką prowadził – bo prowadził ją świadomie – realizował za pomocą pewnych przypowieści. Na przykład postać Juliana Apostaty wydała mu się przydatna do tego, żeby pokazać, jak się widzi rzeczywistość z pozycji opozycjonisty. To było nawet dość „perwersyjne”, ale czytelne. On oddziaływał przede wszystkim kulturą, horyzontami intelektualnymi i właśnie taką formą opozycji przemyślanej i subtelnej, ale bardzo skutecznej. Nie walczył w sensie bezpośrednim, ale pewnej negacji, pewnemu nihilizmowi i wielkiemu prymitywizmowi propagandy przeciwstawiał wartości.

W.Ch.: *Pani Profesor, jeszcze chciałem zapytać o taką sprawę: czy było wiele postaw konformistycznych wobec komunizmu wtedy na Uniwersytecie?*

I.S.: Owszem, były takie postaci, no, raczej wyjątkowe jednak. Białorusini (małżeństwo), którzy przyjechali do Torunia i byli zatrudnieni poprzednio na Uniwersytecie Stefana Batorego. Trochę ludzi bardziej ugodowo nastawionych – zarysowała się taka grupa kilku profesorów ze Lwowa, naukowo nawet podobno dość wybitnych. Oni byli mało bojowi i bardziej skłonni do kompromisów. Niektórzy pewnie uważali, że tak trzeba dla uratowania Uniwersytetu, trudno to osądzić. Bo na przykład, wymienię to nazwisko, prof. Koranyi, późniejszy rektor nawet, on znakomicie rozumiał to wszystko i potrafił się przeciwstawiać. Ale na przykład, kiedy ministerstwo skreśliło nas z listy – pismo przyszło bez podpisu! – on uznał to za obowiązujące. Wydaje mi się, że można było domagać się przynajmniej tego, żeby się ujawnili z nazwiska ci decydenci. Ale o prof. Koranyim jest inna dość znamienita anegdota. Otóż pracowałam króciutko w Radiu Toruńskim. To była filia zależna od Bydgoszczy. Wtedy w 1946 roku zbliżało się to tzw. referendum i kazano nam pracownikom radiostacji przygotować jakiś referat, aktualny felieton, historycznie podbudowany, jednak lekkostrawny, dobrze napisany. Zwróciliśmy się wtedy do profesora – jeszcze wtedy wcale nie rektora – Koranyiego i on przyniósł tekst znakomity, który miał wszystkie zalety wymagane wtedy przez decydentów. Był aktualny, historycznie podbudowany i bardzo zabawny, temat: Jak fałszo-

wano wybory w ciągu wieków. Oczywiście, łatwo się domyślić, jaki los spotkał wtedy ten felieton, ale i cała nasza placówka została wtedy zlikwidowana.

W.Ch.: *W tym samym 1946 roku została Pani pierwszym doktorem UMK. Jak to się dokonało?*

I.S.: Nie było tam w Toruniu żadnej tradycji, tradycję tę przynieśli oczywiście profesorowie, którzy brali udział w moim kolokwium. Oświadczone mi, że to będzie kolokwium z horyzontów naukowych, nie z jakiegoś ściśle określonego zakresu, lecz z horyzontów naukowych. Wobec tego pytał mnie prof. Górski, najbardziej jak gdyby mi bliski, prof. Elzenberg i prof. Srebrny, prof. Makowiecki, prof. Czerny z całej literatury francuskiej – nie z jakiegoś zakresu ściśle określonego.

W.Ch.: *To był prawdziwy doktorat i kreacja prawdziwego doktora nauk, tak jak dawniej, w średniowieczu. I doktorat wypadł imponująco. Wiem, że Pani zebrała bardzo wiele pochwał.*

I.S.: Znałam dobrze język francuski, literaturę francuską. Korzystałam z wykładów i seminariów Srebrnego. Chodziłam pilnie na wykłady Elzenberga. Po prostu te wymagania nie były dla mnie zaskoczeniem.

W.Ch.: *To za rok będzie jubileusz?*

I.S.: Tak, to był maj 1946 roku. Teraz obiecują mi na wiosnę zrobić odnowienie doktoratu w Toruniu, po pięćdziesięciu latach. To będzie może ładna uroczystość.

W.Ch.: *Pani Profesor, jak to było z wyrzuceniem Pani po raz drugi – po Wilnie – teraz z Torunia w 1949 roku?*

I.S.: Decyzję o zwolnieniu wręczono mi na korytarzu. Obraził się potem pewien rektor, kiedy skonstatowałam głośno, że przechodząc na emeryturę miałam to samo doświadczenie na korytarzu KUL-u: też woźny wręczył mi odpowiednie pismo. Więc tam też na korytarzu, i też woźny. A później dostałam z rektoratu pismo zupełnie innej treści, a mianowicie, że ministerstwo nie zgodziło się na awansowanie mnie na adiunkta. Ale to było już po zwolnieniu mnie z Uniwersytetu. Tym okropniejsze, że to się stało na jesieni w ciągu roku akademickiego, w listopadzie 1949 roku, kiedy myśmy zaczęli już przecież zajęcia.

W.Ch.: *Czyli wszystko runęło?*

I.S.: Tak, zwolniono około dwudziestu osób: pani Małunowiczówna, Zgorzelski, ja, Abramowiczówna – już wszystko doktorzy wtedy. Całe grono ludzi, przede wszystkim romaniści, germaniści, angliści i poloniści. Historyków – ku naszemu zdumieniu – nie ruszono.

W.Ch.: *Jak Pani przypuszcza, dlaczego akurat wybrano te dziedziny?*

I.S.: To jasne, uznano nas za najbardziej niebezpiecznych to raz. Po wtóre – łączyliśmy w sobie wszystkie największe grzechy: byliśmy z Wilna, widzieliśmy na własne oczy, co się dzieje pod rządami komunistycznymi i wiedzieliśmy doskonale, co się będzie działo; powiązani byliśmy z „ośrodkiem międzynarodowej reakcji”, czyli z Kościołem. I wykładaliśmy nie tak jak trzeba. Ja założyłam Juventus – no wszystkie, wszystkie grzechy na raz myśmy skupiali. Lwów, nie – Lwów się zachowywał inaczej; ci lwowscy profesorowie zostali w większym stopniu oszczędzeni niż to grono wileńskie.

A poza tym zwinięto neofilologie, ponieważ neofilologie to droga do kontaktu ze zgniłym Zachodem. Dlatego potem też i na KUL-u zwinięto właśnie neofilologie. Więc była jakaś metoda w tym szaleństwie.

W.Ch.: *Pani Profesor, niech Pani jeszcze powie rozstając się w tej rozmowie z Toruniem, a także poniekąd z Wilnem, którzy ludzie są dla Pani najwięksi, z tych, których Pani tam spotkała?*

I.S.: No, z Wilna łatwiej mi powiedzieć, bo jest tu jakaś większa perspektywa; tu już wymieniłam: prof. Kościałkowski, prof. Zdziechowski. W zakresie naukowym: Kridl, Srebrny – wielka postać, Elzenberg. I Górski, i Makowiecki byli dla mnie wielkimi objawieniami, właściwie z Makowieckim bardzo się sprzęgłam naukowo. Moje norwidowskie zainteresowania to głównie dzięki Makowieckiemu i jego widzeniu Norwida. To przede wszystkim ci ludzie. Niestety, nie znalazł się tutaj ani Zdziechowski (już nie żył), ani Kościałkowski (jak wiadomo, przeszedł przez Wschód i wylądował w Londynie).

W.Ch.: *Pani Profesor, potem przyszedł taki czas w Pani życiu, że KUL udzielił Pani schronienia, kiedy została Pani zwolniona z Torunia?*

I.S.: No, to niezupełnie tak, bo ja zostałam wtedy zaangażowana do Instytutu Badań Literackich w Warszawie i nie byłam zupełnie bez pracy. W każdym razie to było zaproszenie na jedyny uniwersytet, na którym ja wtedy mogłam pracować, bo przecież wyszłam z wilczym biletem z Torunia. Zwolnienie nas było karą zamykającą nam drogę do wszystkich państwowych uniwersytetów. Zgorzelski został zaangażowany do wydawnictwa „Ossolineum”, a ja do IBL-u. Miałam wtedy również możliwość związania się z powstającym w Warszawie

Instytutem Sztuki. Tak że to nie było zupełnie tak, żebyśmy wówczas byli na bruku. Ale w każdym razie to była możliwość przejścia na uniwersytet. Muszę powiedzieć, że wielką rolę odegrał w tym przejściu na KUL ks. rektor Słomkowski. I gdyby wtedy kto inny, jakiś zimny i zamknięty urzędnik mnie przyjmował, to być może nie byłabym się nie zdecydowała na przyjeździe do Lublina. Ale on udzielił mnie i Zgorzelskiemu swojego żaru, zaangażowania i takiego ojcowskiego ciepła. Pamiętam taki drobny, ale znamienny szczegół. Przyjechałam tutaj właśnie któregoś lipcowego bardzo upalnego dnia i ks. Słomkowski zapytał: „Pewnie Pani chciałaby się przede wszystkim wykapać?” Potem zawiózł mnie na Poczekajkę i pokazał: tutaj budujemy to, tutaj powstaje to, tutaj budujemy z niczego, tutaj brak nam ludzi... Żar i zaangażowanie i jakaś skromność były w tym wszystkim. To nie był taki rektor z wysoka. Bardzo mnie to ujęło. A także postawił jasno sprawę, że jesteśmy potrzebni, że Uniwersytet nie ma właśnie ludzi w tym zakresie i że trzeba KUL od razu w dziedzinie studiów polonistycznych i literackich postawić na wyższym poziomie.

W.Ch.: *I można powiedzieć, że odtąd Pani jest na KUL-u. Pani Profesor, proszę powiedzieć coś o KUL-u, proszę powiedzieć – czym jest dla Pani KUL?*

I.S.: Czym był KUL, prawda?

W.Ch.: *Czym był KUL...*

I.S.: KUL był wtedy domem, naprawdę domem. W pierwszych moich latach, była tu cudowna atmosfera, w dużej mierze właśnie dzięki Rektorowi, który pomyślał o tym, że trzeba ludzi ze sobą wszechstronnie związać. Związać także i towarzysko, i żeby to wspólne mieszkanie na ulicy Chopina też było wiązaniem ludzi. Przecież myśmy od razu zamieszkali w takich, że tak powiem, „kołchoźnych” mieszkaniach (wspólna kuchnia, wspólna łazienka, ciasnota) z zupełnie nieznanymi ludźmi. Nie było jednak konfliktów, wszystko to było owiane jakąś wspólną atmosferą, że mamy służyć, że mamy tutaj budować ten Katolicki Uniwersytet przeciwko złu, dla zrównoważenia dobrem tego zła, które się dzieje w stosunku do nauki i młodzieży. Ks. Słomkowski pomyślał, jak ważnym elementem będą wspólne wakacje wykładowców i młodzieży. I temu służyło Smołowo, gdzie były dwa duże budynki i gdzie od razu tak to było pomyślane, żebyśmy się tam spotykali. Smołowo leży nad Łyną, to jest Pomorze, a właściwie Warmia. To była siedziba i pałace biskupów warmińskich. Ale właśnie tam były i warunki, i cudowna, cudowna atmosfera: i mecz siatkówki wspólnie rozgrywany, i kajaki, itd. Tam się ze mną młodzież wiązała dosłownie na całe życie. Ile było zapału, i takiej bezinteresownej miłości wiedzy, i jakieś próby sprawdzenia się, i wysiłek intelektualny. Przecież tam się odbywały dzień w dzień seminaria naukowe, które nazywały się zebraniem

sekcji krytyki literackiej. Tam był codziennie Łapiński, tam Zwoźniakowa, która obecnie jest w Katowicach, Szymański, Jastrzębski – wszystko późniejsi profesorowie. Dzień w dzień były referaty i to nieraz po dwa, trzy – takeśmy tam cały czas bardzo intensywnie pracowali. Były wieczory poetyckie – wtedy trwało zauroczenie Gajcym i Baczyńskim. I towarzyszył temu przez cały miesiąc, gdy byliśmy razem, intelektualny wysiłek. Ażeby się dalej nie rozstawać – w następnym miesiącu wyruszyliśmy z plecakami w góry. Był w tym też stały aspekt religijny, naturalnie. Zresztą ks. Słomkowski przez długi czas przebywał z nami, zawsze był któryś z księży. Ale tu chcę właśnie podkreślić ten wysiłek intelektualny młodzieży, głód poznawczy, który wyrażał się w tym, że dzień w dzień były te referaty, dyskusje, wspólne lektury itd. A nieraz na takie zebranie popołudniowe kilku studentów się przygotowywało, byli gotowi i czekali na swoją kolejkę, żeby się móc wypowiedzieć. Był wtedy Górny – chłopak, o którym się mówiło, że jest genialny, niezwykle zdolny i wszechstronny i Jastrzębski – tak młodo zmarły; Łapiński – to przecież późniejsze asy. Także i dziewczyny piszące później i ambitne.

W.Ch.: *Ks. Słomkowski był represjonowany na początku lat pięćdziesiątych.*

I.S.: Tak, był w więzieniu półtora roku. Trzeba powiedzieć wprost: nie represjonowany, ale więziony za to, że przyjął dolary z zagranicy, co było wówczas zakazane. Trzeba było natychmiast oddać do banku PRL otrzymane dolary. Ks. Słomkowski powiedział wtedy na przesłuchaniu, że wcale tego nie żałuje, bo musiał przecież zapłacić pracownikom, a nie miał innej możliwości, i że drugi raz zrobiłby to samo. Wcale nie obiecywał żadnej poprawy.

Trzeba jeszcze powiedzieć, że w tej integracji miał także udział ks. Karol Wojtyła, który przyjeżdżał przecież z Krakowa. Zawsze mieszkał też na Chopina i zbieraliśmy się tam wieczorami, żeby być razem, żeby się spotykać. Pani Małunowiczówna to energiczna sprężyna tych spotkań. Cała ta atmosfera wspólnego domu była więc bardzo cenna i przyjemna. I wszyscy nas zapraszali, zwłaszcza rodziny, które rozporządzały większą przestrzenią i większą samodzielnością mieszkaniową. Muszę powiedzieć, że teraz, w tym roku, przyszedł ksiądz po kolędzie i postawił mi takie pytanie: „Czy rodziny tu mieszkające, przecież przynależne do tej samej rodziny kulowskiej, zapraszają do siebie was, samotne kobiety?”. Wypadło mi odpowiedzieć negatywnie. Powiedziałam, owszem dawniej zapraszali, teraz jednak prawie nikt – poza dwiema paniami, które troszczą się, żeby samotni ludzie znaleźli u nich ciepłe przyjęcie. To jedyne rodziny z tego domu, które w ogóle przyjmują ludzi, goszczą samotne kobiety. A tam mieszka wiele samotnych kobiet (ja nie o sobie myślę, bo ja mam – jak wiadomo – dużo powiązań, przyjaciół, ale są tam rzeczywiście zupełnie osamotnione kobiety). Samotni mężczyźni łatwiej sobie dają radę pod tym względem, bo mają większą inicjatywę i możliwości. Natomiast te

samotne kobiety (zresztą Pan wie dobrze, o kim mówię), są bardzo biedne i bardzo cierpią z tego powodu, że rodziny są przed nimi zamknięte.

Ja nie wiem, dlaczego tak się stało, nie jestem w stanie tego procesu sobie wytłumaczyć. Widzę tu wpływ dezintegracji społeczeństwa, to na pewno. Po części jednak jest to wina władz uniwersyteckich, bo trzeba o tym myśleć, trzeba uruchamiać jakąś inicjatywę; duszpasterstwo akademickie powinno to uświadamiać. Dezintegracja to jest zawsze strata dla instytucji, to nieobojętny aspekt naszego życia. Na pewno nie.

W.Ch.: *Pani Profesor, proszę mi jeszcze powiedzieć, jeżeli mówimy o uniwersytetach: który uniwersytet jest dla Pani najbardziej bliski?*

I.S.: Oczywiście ten uniwersytet, na którym otrzymałam wykształcenie: Uniwersytet Stefana Batorego. Miałam okazję już o nim wielokrotnie mówić i pisać. To był znakomity uniwersytet i w sensie naukowym, naturalnie, ale i w wielu innych aspektach też. Nawet chciałabym kiedyś o tym powiedzieć więcej – jak aktywne było życie naukowe i praca naukowa młodzieży, poza ćwiczeniami i pracami dyplomowymi. Jak wiele młodzież sama robiła i jak wiele inicjatyw podejmowała.

A wtedy Koło Polonistów w Wilnie między innymi prowadziło bibliografię czasopism lokalnych (retrospektywną). Miało własne inicjatywy wydawnicze (wydawało biblioteczkę polonistyczną i inne rozmaite rzeczy, jak na przykład kursy dla maturzystów), masę rzeczy robili poloniści sami. Młodzież „Bratnia pomoc” z kolei założyła własną piekarnię i własne biuro podań, żeby zdobywać pieniądze na stypendia. Młodzi nie tylko czekali z wyciągniętą ręką, żeby ktoś dał – instytucja czy rząd. Tak że pod tym względem jest wielka zmiana. Owszem, jest masa inicjatyw: tutaj odczyt zaproszonego profesora, tam cykl zaproszonych ludzi. A ja mówię: a kiedy wy pokażecie własne prace młodych na takim zjeździe czy kongresie? Inny zły model, co prawda filozofów, to Tydzień Filozoficzny, który polega przede wszystkim na tym, żeby zapraszać swoich profesorów. Jak mi powiedział jeden z wykładowców KUL my organizujemy tutaj Tydzień Filozoficzny po to, żeby się studenci innych uniwersytetów nauczyli czegoś. Skromnie, prawda?

W.Ch.: *Pani Profesor, ciągle pojawia się nam ten wątek braku wychowania do dojrzałości i samodzielności.*

I.S.: Widzę dzisiaj stosunek rodziców do dzieci jako przewrażliwione staranie o to, żeby dzieci nie miały stresów. I wydaje mi się, to jest podstawowa rzecz – żeby młodzież, dzieci od początku uczyć wyrzeczenia: masz sam się czegoś wyrzec. Oczywiście, to ma być potraktowane nie tylko jako ćwiczenie charakteru, ale przede wszystkim jako pomoc w wybieraniu wyższego dobra.

Nie pójdiesz na przykład do kina, bo trzeba pomóc komuś, trzeba posiedzieć przy chorej staruszce, trzeba coś załatwić, trzeba pomóc koleżance, trzeba się pouczyć. Konieczność wyboru i konieczność wyrzeczenia. Jeżeli się tego dzieci i młodzieży nie nauczy, to naprawdę nasze wysiłki pedagogiczne przyniosą niewielkie rezultaty. Bardzo bym usilnie to podkreślała. Inna potrzeba to całkowicie zarzucone wychowanie do dyscypliny, do rygoru, tak żeby człowiek nauczył się wypełniać te obowiązki, których sam się podjął i ten program dnia, który sam sobie zaprogramował. Żeby się człowiek tego nauczył od dzieciństwa; nie na rzecz doraźnych jakichś przyjemności – „Umówiliśmy się: albo postanowiłeś się teraz uczyć, albo czytać”. Więc to, że ktoś przychodzi z propozycją kina, nie może być ważniejsze. To mnie się wydaje także bardzo, bardzo istotne.

W.Ch.: *Pani Profesor, chciałbym zapytać Panią o Norwida jako najbliższego chyba pisarza? Czy Pani mogłaby powiedzieć kilka słów o tym, co wyróżnia Norwida w stosunku do naszych pozostałych wieszczów?*

I.S.: Chyba bardzo głębokie i szerokie wejście w problematykę etyczną. Nie tak bezpośrednio, ale w jego parabolach, opowieściach i wierszach. Chyba nikt nie objął takiej skali zagadnień i tak wnikliwie nie spojrzał na przykład na tę „przeciwchrześcijańskość” tzw. chrześcijańskiego społeczeństwa, w rozmaitych aspektach i dziedzinach. Na przykład związek tej problematyki z miłością – etyczny wymiar miłości erotycznej. Problematyka cierpienia, na czym polega prawdziwa wielkość człowieka. Rozmaite tego typu zagadnienia wymagają dojrzałości, ale powinny być nam postawione i przybliżone.

Myślę, że w tym sensie Norwid jest chyba najbardziej nam współczesny. Bo jednocześnie to wszystko powiedziane jest językiem nie jakiegoś napomnienia kaznodziejskiego, ale językiem wysokiej poezji: to są parabole, przypowieści. Tak że Norwid jest bardzo aktualny i chyba się nie zestarzał. Brzmi bardzo nowocześnie w dalszym ciągu. Cieszę się, iż na KUL-u utrwaliło się to zainteresowanie Norwidem. Ale nie tylko na KUL-u, gdyż jest bardzo poważny ośrodek, w Warszawie, gdzie powstaje słownik Norwidowski, którym kieruje pani prof. Puzynina, wielkiej klasy człowiek i widząca dobrze te problemy.

W.Ch.: *Pani Profesor, słyszałem w radiu jakiś tydzień temu, że kiedy zapytano Panią o Jej upodobania teatralne, wymieniła Pani z polskich dramaturgów Mrożka, a z obcych Eliota i Claudela. Czy rzeczywiście tak Pani ustawia hierarchię współczesnej dramaturgii?*

I.S.: Claudel to już nie jest taki dosłownie współczesny autor, ale bardzo wysoko go cenię i wydaje mi się, że ma wiele jeszcze do powiedzenia i do objawienia.

W.Ch.: *Właśnie ukazał się Atlasowy trzewiczek w Pani tłumaczeniu i jest to wydarzenie, myślę, że to będzie wydarzenie w teatrze.*

I.S.: Mam nadzieję, że będzie to też wydarzeniem teatralnym, jeżeli się zdobędzie któryś z realizatorów na podjęcie takiego zadania, niełatwego przecież. Ale ten wielki dramat jest po prostu niemodny. Wczoraj dostałam list – to bardzo znamienne – od Wajdy, któremu przesłałam swój przekład *Atlasowego trzewiczka*. On też wie, że to ostatni dramat miłosny XX wieku i stwierdza, że jest to dramat wspaniały. Ale Wajda – któremu przekazałam ten tekst na życzenie rodziny Claudela, lecz i z własnej inicjatywy – zwraca mi go ze słowami, że bardzo długo nad tym myślał, że do filmowej interpretacji tekst ten się nie nadaje, dlatego że jego siła i piękno to jest słowo poetyckie, co w filmowej wersji musiałoby być jednak zredukowane bardzo i zniekształcone. Na scenę zaś trzeba by mieć kongenialnych aktorów. Udało się to raz w Paryżu, bo znalazł się taki zespół kongenialnych aktorów. On tu w Polsce takiego zespołu nie widzi. No i kończy tym, że chyba jeszcze nie nadszedł czas, żeby taki dramat wprowadzić na scenę. Taki akcent jednak niewesoły dla teatru w jego liście.

Tak że Claudel dzisiaj w teatrze nie jest na czasie. Modni są inni. W dalszym ciągu modny jest teatr okrucieństwa, teatr absurdu. Właśnie *Antygona w Nowym Jorku* Głowackiego, amerykańska dramaturgia tego typu czy niemiecka – bardzo okrutna. Nie przewyciężyliśmy jeszcze tego trendu. Teatr jest w impasie, bo musi wyjść z tego zaklętego kręgu modnych, czyli okrutnych i absurdalnych sztuk teatralnych.

W.Ch.: *Czyli Pani raczej odrzuca na przykład Becketta, który jest dziś bardzo uznanym dramaturgiem?*

I.S.: Nie, nie mogę się w ten sposób wyrazić. To, co w swoim czasie tak brzydko nazwano *Końcówką*, a co w oryginale znaczy coś zupełnie innego (*The End of the Game*) – ta wizja ostateczna końca świata – było wielkim wstrząsem dla tego zindustrializowanego i zmaterializowanego świata XX wieku, ale to jest oczywiście wizja dla nas chrześcijan absolutnie nie do przyjęcia i powinna ona zostać zrównoważona zupełnie inną wizją. Nie tak się na szczęście skończy świat, jak w naszym widzeniu. Poza tym bez końca nie możemy przy tym Beckettcie trwać. To był pewien etap, pewne ostrzeżenia – jak mówię – dla zmaterializowanego świata, ale to nie może być ostatni akcent naszych doświadczeń teatralnych i naszej teatralnej wizji. Musimy zobaczyć inny świat i inne rozwiązania.

W.Ch.: *Pani Profesor, dlaczego teatr przeżywa kryzys? Dlaczego nie mamy Eliota, Meterlincka, nie mówiąc o Goethem albo Szekspirze? Z teatrem się dzieje źle, to widać wyraźnie.*

I.S.: Trudno odpowiedzieć na to pytanie, trudno pokusić się o taką syntezę: My po prostu stwierdzamy fakt oczywistego kryzysu, który włącza się chyba w wielki syndrom kryzysu kultury w ogóle, kryzysu wartości, człowieka, w sensie utraty możliwości pokazania pozytywnego modelu człowieka. Kryzys człowieka, kryzys świata i kryzys teatru to nie są przecież zjawiska odosobnione. To jest syndrom wspólny całej kulturze i teatr jest tylko jednym odcinkiem, na którym się ujawnia ta tendencja, tylko ujawnia się w sposób najbardziej może oczywisty i taki wizualnie nawet dostępny.

W.Ch.: *Czy Pani Profesor widzi jakieś jaskółki w teatrze, propozycje, które by akcentowały jednak pozytywne wartości? Na przykład wydaje się, że Mrozek z Miłością na Krymie jest jednak taką wielką afirmacją miłości na tle zmienności i relatywności dziejów.*

I.S.: No więc w ogóle Mrozek wydaje mi się wielką nadzieją teatru i w stosunku do dramaturgii polskiej pozycją jak najbardziej w dalszym ciągu aktualną i obiecującą. Ale niewiele jest rzeczywiście nowych pozycji teatralnych. Wydaje mi się, że musimy wrócić do zapomnianych czy niewyeksplorowanych jeszcze pozycji. Jeszcze wciąż wielki teatr romantyczny, i Eliot, i Claudel czekają na „odkrycie teatralne”.

W.Ch.: *I Oscar Miłosz...*

I.S.: ...to jest teatr do odkrycia, którego polski teatr jeszcze nie przeżył. To jeszcze stoi przed nami, my to doświadczenie musimy zdobyć, zrealizować, nie możemy przeskoczyć przez nie. Ale istotnie, wśród nowych autorów nie widać obiecujących postaci. Po wtóre taka – jak to mówi młodzież – akonsolacyjna wizja świata jest dziś niemodna. Ja napisałam świeżo artykuł, który ukaże się w „Akcencie” pt. *Okrutna nadzieja teatru współczesnego* i zacytowałam tam zdanie takiego młodego, włoskiego zresztą, autora dramatycznego, który z pogardą odnosi się do tej literatury consolatrice i który mówi o sobie: „io sono apocalittico”. A więc modny jest ten teatr apokaliptyczny, niestety, i musimy to przezwyciężyć, żeby wyjść ku innej wizji świata, właśnie chrześcijańskiej. Przecież Claudel też był świadomy tego, że problem bardzo zasadniczy nierozzerwalności małżeństwa i istoty tego sakramentu jest na ogół dla ludzi obojętny albo zupełnie śmieszny, że wzruszają ramionami: kto dziś się przejmuje takimi rzeczami! A jego cały dramat jest na tym problemie zbudowany. Przecież już cały francuski teatr z okresu Claudela był przepełniony komediami i tragediami, gdzie ten problem właściwie nie odgrywa żadnej roli. A w *Atlasowym trzewiczku* jest sprawa centralna tego sakramentu: że istotą sakramentu małżeństwa nie jest miłość – jak się tam mówi – ale przyzwolenie, obietnica, przysięga.

W.Ch.: *Pani Profesor, chciałbym przy końcu naszej rozmowy zapytać o taką sprawę: proszę powiedzieć, która z dziedzin, które Pani jakoś przebiegła w swoim życiu, jest dla Pani najważniejsza? Powiedziała Pani w rozmowie z Mamoniem dla „Tygodnika Powszechnego”: „Za największe szczęście uważam osiągnięcia moich wychowanków, jak też ich trwałą przyjaźń”. Ale poza ludźmi przecież ma Pani w swoim dorobku wielkie dzieło: Ośrodek Badania i Dokumentacji Teatru Religijnego, wyniki badań metodologicznych w dziedzinie teatrologii, rezultaty prac nad Norwidem, książki, publikacje... Co Pani uważa za najważniejsze?*

I.S.: Rzeczywiście w zakresie organizacyjnym i pracy na Uniwersytecie to może ten Ośrodek Dokumentacji i Badań nad Teatrem Religijnym. On niestety został zahamowany, jeśli nie zniszczony, ponieważ odebrano nam etat dokumentalisty, a w praktyce także i lokal do użytku dokumentacyjnego. Tak że nie wiem, czy to przetrwa, czy jeszcze się odrodzi. Są jeszcze w robocie pewne prace doktorskie na przykład praca o współczesnym dramacie i teatrze religijnym na Śląsku. Może dojdzie do druku wielkiej pracy Strzeleckiego o teatrze seminaryjnym w okresie pontyfikatu Jana Pawła II. Długo walczyliśmy o możliwość druku tej pozycji; zdaje się, że w Redakcji Wydawnictw KUL nareszcie to marzenie się zrealizuje. Kilka takich prac jest jeszcze w toku. Natomiast sam Ośrodek Dokumentacyjny w praktyce przestał już istnieć z woli władz KUL-u. Trzeba to wyraźnie powiedzieć. Bardzo, bardzo nad tym boleję.

Zostałam wiosną tego roku uhonorowana przez Pen-Club za moją eseistykę teatralną. Ale nie wiem, czy to rzeczywiście najbardziej uderzający czy cenny element mojej pracy naukowej. W swoim czasie właśnie te metodologiczne refleksje, które w kilku moich książkach doszły do głosu – z tego jednej drukowanej za granicą w języku francuskim – zrobiły mi nazwisko za granicą. Ale naturalnie i ta praca powinna być w dalszym ciągu uzupełniana i rewidowana, żeby zachowała trwałą wartość.

W.Ch.: *Pani Profesor właściwie jest stale w drodze, Pani jest stale w biegu: te uniwersytety, miejsca pobytu, to przenoszenie się, ciągłe podróże. Proszę powiedzieć podsumowując: gdzie jest naprawdę Pani dom? Gdzie Pani by umiejscowiła swój dom? Czy w Snipiszkach, w Wilnie, czy we dworze w Glinciszkach, gdzie przeżyła Pani takie dramatyczne chwile, czy na KUL-u? Gdzie jest Pani dom?*

I.S.: Muszę powiedzieć tak jak Konwicki, że tak naprawdę to ja mieszkam wciąż w Wilnie. Oczywiście, tu się liczy atmosfera Wilna, ludzie z tego okresu, przyjaźnie, tamten Uniwersytet, który mnie wychował... i to chyba najważniejsze w moim życiu i z tym się czuję najbardziej związana. Uniwersytet Stefana

Batorego – ten Uniwersytet, który miał tak wysoki ethos i był poznawczo tak bardzo bogaty, inspirujący, i z którego zachowałam pamięć tylu ludzi wspaniałych: Pigonia, z którym się najpierw zetknęłam, potem Kridla, Elzenberga, Zdziechowskiego, Srebrnego. Tych nazwisk można by jeszcze trochę więcej wymienić. Zresztą i Czeżowski miałby tu swoje miejsce, chociaż właśnie był tak bardzo odosobniony w zakresie swojego widzenia świata. Ale też był to człowiek wysokiej etyki, na pewno. No i późniejsze przyjaźnie, też i lubelskie – właśnie te pierwsze lata pobytu na KUL-u jakoś trwale się związały z moją pamięcią i z moim dojrzewaniem.

W.Ch.: *Pani Profesor, Pani dom to w dużej mierze nauka. Nie założyła Pani własnego domu rodzinnego. Czy nauka to taka „okrutna pani”, która wymaga wyrzeczenia i wyłączności?*

I.S.: Praca naukowa wymaga wyrzeczeń. Na pewno wymaga i to nie tylko w sensie: rodzina czy samotne życie. To chyba nie w tych kategoriach jest dylemat i alternatywa, bo praca naukowa wymaga wielu wyrzeczeń zawsze i w każdym stanie cywilnym, i absolutnie nie jest do pogodzenia z inną działalnością, nawet religijnej natury. Dlatego ludzie, którzy się zaangażowali bardzo aktywnie w pewne wspólnoty religijne, są dla nauki straceni – jak dobrze widzimy własnymi oczyma na KUL-u. Na pewno nie do pogodzenia z nauką jest łapanie pieniędzy i ci, co teraz są tym zajęci, po różnych Zamościach i innych szkołach, mają po dwa lub trzy etaty – są dla nauki straceni, bez względu na to, że pisują wiele w doraźnych czasopismach. Bo to też jest nie do pogodzenia. Praca naukowa wymaga jednak skupienia. Obcowanie z przyrodą nie jest tutaj takim odciążeniem od pracy naukowej. Ale inne zajęcia, czy to zarobkowe, czy właśnie absorbujące czasowo działania społeczne nie wytrzymują konkurencji. A raczej praca naukowa nie wytrzymuje ich konkurencji.

W.Ch.: *Czyli ta droga wymaga jakiejś silnej ascezy. Ale czy wiele osób może sobie ze względów bytowych – pozwolić na taką ascezę?*

I.S.: Gonienie za pieniędzmi na pewno człowieka pomniejsza i odrzuca od nauki, zwłaszcza że sądząc po moich obserwacjach nie jest ono często spowodowane tym, że „dla chleba” potrzeba tych rozlicznych i doraźnych, rozproszonych „dochwytków”. Raczej dla samochodu, dla utrzymania wielkiego domu na wysoki połysk czy czegoś takiego. Oczywiście że pracownik naukowy powinien być na tyle zabezpieczony finansowo, żeby nie musiał oddawać się zajęciom doraźnym i odciągającym go od pracy. Ale wydaje mi się, że najczęściej – przynajmniej w zasięgu mojego widzenia – jest to postępowanie raczej spowodowane chęcią „wysokiego połysku” niż koniecznością.

W.Ch.: *Pani Profesor, wróćmy na koniec do źródeł, czyli do Wilna. Była Pani w Wilnie kilka tygodni temu. Proszę powiedzieć, jak było tym razem?*

I.S.: No nie pierwszy raz byłam w Wilnie ostatnimi laty, ale pierwszy raz byłam na Uniwersytecie, zaproszona przez profesora Kalédę, który drugi rok prowadzi tam polonistykę. Uroczy człowiek – nie znajduję innego określenia. Litwin, skromny, życzliwy i naprawdę zatroskany o to, aby ta polonistyka tam rozwinęła się dobrze. Zaprosił mnie z wypowiedzią o przedwojennej polonistyce na tym uniwersytecie. Bardzo wdzięczny temat, więc ogromnie mnie to ujęło i swobodnie mówiłam o tym właśnie, jak bardzo silna była wtedy młodzież: moralnie i intelektualnie, naukowo.

W.Ch.: *Powstaje w Wilnie polska uczelnia. Czy to jest żywy uniwersytet?*

I.S.: Zetknęłam się tylko z rektorem tego polskiego uniwersytetu, rozmawiałam z nim parę godzin. Natomiast nie było okazji wejścia na teren tego uniwersytetu, który już ma jakieś zaplecze, nawet i gospodarcze. Tam polonistyki nie ma na razie, tylko pedagogika ogólna, jak gdyby przygotowywanie do studiów (nawet medycznych) poprzez różnorakie kursy. Lecz wykład miałam na litewskim Uniwersytecie i właśnie tak entuzjastycznie wyrażam się o kierowniku katedry filologii polskiej. Jest to bardzo obiecujące. Niespodzianką dla mnie w Wilnie było również, że trafiłam tam na dwudniową sesję o Piłsudskim.

W.Ch.: *Na Uniwersytecie?*

I.S.: Nie, rzecz powstała z inicjatywy stowarzyszenia naukowców polskich. Romuald Brazis, profesor fizyki, jest tam czynny i jakby prezyduje temu stowarzyszeniu. Ale w sesji brali też udział i litewscy historycy. A rzecz się działa w polskiej szkole im. Jana Pawła II. Więc dane mi było też poznać tę szkołę. Bardzo elegancka, nowoczesna, zbudowana w taki półokrąg, ale tylko na dwóch poziomach, tak że absolutnie nie wystarczająca dla tej ilości młodzieży (około dwu tysięcy osób), która tam się już teraz skupiła. A perspektywy rozwojowe są ogromne; tam co roku przybywa coraz więcej młodzieży. To jedna z sześciu dużych szkół polskich w Wilnie, z których każda ma powyżej półtora tysiąca uczniów.

W.Ch.: *Czy napotkała Pani jakieś ślady swojej przeszłości?*

I.S.: Ja tam tym razem pojechałam z telewizją, która robi o mnie film biograficzny. Więc zawieźli mnie tam, gdzie spędzałam wakacje na koloniach nad Wilją, do Glinciszek, gdzie byłam świadkiem, prawie ofiarą mordy w czasie wojny. No więc w takich miejscach, jak w moim przedwojennym domu czy na

Rossie przy grobie ojca, były robione zdjęcia. Wielkim też dla mnie przeżyciem było moje uczestnictwo – ale już bez telewizji – w pielgrzymce na Górę Krzyży. To jest jednak wielkie przeżycie ta Góra Krzyży, gdzie zresztą Papież modlił się podczas swojej pielgrzymki na Litwę w 1993 roku. Ta prowizoryczna kapliczka, gdzie Papież odprawiał Mszę św., została zachowana. Zdaje się, że nie mają na razie zamiaru jej burzyć, tak że to już zostanie jako pamiątka świadcząca o obecności tam Papieża. Ojciec święty był wtedy bardzo przejęty tym widokiem wielu tysięcy krzyży – już teraz nie można ich policzyć nawet: do jakichś trzydziestu tysięcy krzyży doliczono się ostatnio, a potem już zrezygnowano z liczenia, bo tych krzyży jest tak bardzo wiele i ciągle ich przybywa. To są w większości krzyże dziękczynne, wota dziękczynne, bardzo piękne, przynieszone po prostu przez ludzi.

W.Ch.: *Ojciec święty jest pod wielkim wrażeniem tej Góry Krzyży i często o niej wspomina. Mówi – na przykład ostatnio w Skoczowie – o krzyżu jako wartości, która może pomóc człowiekowi pokonać kryzys. Myślę, że Papież to wielka nadzieja dla nas w czas kryzysu.*

I.S.: Wspomniałam tutaj już, jakim był On elementem integracyjnym nawet wówczas, gdy zjawiał się w Lublinie tylko od czasu do czasu. Miał w sobie ten jakiś „kleik”, który ludzi jednoczył i zbliżał. Jan Paweł II wydaje mi się znakomitym, wspaniałym papieżem. I jeżeli może nie zdołał tak na ludzi oddziaływać, jak byśmy tego pragnęli, to miejmy nadzieję, że jego nauka i jego oddziaływanie okażą się trwałe. Może powolne, może to przyjdzie później, może powinniśmy cierpliwie jednak czekać, aż zatoczy szersze kręgi, niż dzisiaj to obserwujemy. Niewątpliwie przecież jest postacią opatrnościową. Wierzymy chyba, że wybór papieża odbywa się przy pomocy Ducha Świętego i na pewno ten udział jest decydujący, i tym razem był niezwykle szczęśliwy. I podziwiam bardzo – nie tylko kocham Papieża, ale podziwiam bardzo Jego odwagę, Jego determinację i ofiarność. Rzucił siebie przecież – w rozmaitym sensie tego słowa, nawet najbardziej ogólnym – w służbę Bogu i człowiekowi. Zdecydował się pójść przeciwko różnym modom, oczekiwaniom i sugestiom. Wie, na co się naraża, co go może spotkać i co go na szczęście jak dotąd omija. Ale istnieje nienawiść, która gromadzi się jednak w anonimowych może ośrodkach; jesteśmy świadomi przecież, jak to zło wciąż na niego czyha. Nie jest bezpieczny. Tylko Opatrzność Boża i nasze modlitwy, i nasze przywiązanie powinny Go od tego chronić. On wie, że poszedł przeciwko wielkim mocom zła. Wierzymy, że je przezwycięży.

W.Ch.: *Bardzo dziękuję Pani Profesor za te dwa niezwykle spotkania.*

Lublin, kwiecień-maj 1995 roku